

Pic. A za picem nic

11 marca 2014

Wolny rynek będzie naprawdę wolny, gdy wyzwoli się od społeczeństwa. W Polsce trwają postępy realnego liberalizmu w tym kierunku. Niż demograficzny jest najlepszym przykładem. Trzeba przyznać, że ten system ma znakomite właściwości odchudzające.

W mojej okolicy są dwie poczty. Jedną z nich właśnie wyremontowano. W środku zrobiło się bardzo elegancko i nowocześnie. Jest duże, odrębne stanowisko finansowe (Bank Poczty), osobny regał na prasę, koperty. I tylko jeden mały kłopot: zrobiło się ciasno. Zamiast dawnych dwudziestu krzeseł, na których zwykle siedzieli staruszkowie płci obojga, postawiono – na jedynym już kawałku wolnej przestrzeni – czerwoną ławkę, której oparcie kończy się w okolicach nerek (testowałem: mało wygodne). Od biedy mieści się na niej pięć ściśniętych osób. Reszta klientów musi stać w ścisiku i czekać na swoją kolej. Nie ma już stolików – został jeden krótki blat, przy którym można wypełnić druczki. Pechowo, jego okolice to właśnie ostatni skrawek poczty, gdzie da się przystanąć nikomu nie zawadzając, gdy w środku jest tych dwadzieścia osób. Najbardziej jednak bije w oczy ta krótka czerwona ławka w „miejscu użyteczności publicznej”. Choć chyba ktoś, kto to projektował, najwyraźniej nie myślał o wnętrzu budynku pocztowego w tak mało nowoczesnych kategoriach.

Trudno traktować ten przypadek inaczej, niż jako symbol przemian, jakich doznaje cała nasza przestrzeń publiczna. W Krakowie właśnie oddano do użytku podziemny dworzec kolejowy, który stanowi de facto przedłużenie pobliskiej Galerii Krakowskiej. Ledwo oznaczono dojścia na poszczególne perony. Co stanie się ze starym, zabytkowym dworcem? Jeszcze nie wiadomo. W wielu miasteczkach, jeśli dworce kolejowe nie popadły w ruinę, po prostu zamieniono je w magazyny i hurtownie. W wielkopolskim Czempiniu rok temu zatrzymałem się

w małej kawiarence na rynku, prowadzonej, jak się okazało, przez lokalnego patriotę i pasjonata swojej okolicy. Rozmowa zeszła na tamtejszy dworzec kolejowy. – Tam, w poczekalni, były piękne, zabytkowe kasetony, ale nie wiadomo, co się z nimi stało, bo to wszystko przerobili na magazyny – opowiadał. Łudzę się nadzieją, że starego dworca krakowskiego nie da się ot tak, po prostu, oddać na zmarnowanie. Ale w zasadzie: dlaczego nie? Przecież większości opinii publicznej i tak nic takie sprawy nie obchodzą, a nawet jeśli jest inaczej, to ich przełożenie na „czynniki decyzyjne” jest niemal żadne.

Na polskich ulicach królują banki i apteki – jeśli ktoś źle się poczuł po terapii szokowej, zawsze może wziąć to, co Goździkowa. I ludzie biorą. Zdaniem Centrum Badania Opinii Publicznej około 70 proc. Polaków łyka leki bez recepty co najmniej raz w miesiącu. Politycy wiedzieli co robią, zezwalając na niekontrolowaną reklamę tych produktów. Lekko „przyćpany” naród mniej się buntuje. Co prawda przedłużone samoleczenie może być szkodliwe, ale co komu szkodzi wziąć kilka tabletek, gdy wiadomo, że szanse na szybkie dostanie się do specjalisty są mizerne.

„Polacy są lekomanami i biorą za dużo leków bez recepty, szczególnie tych przeciwbólowych” – mówi Wirtualnej Polsce dr Piotr Burda, konsultant krajowy w dziedzinie toksykologii klinicznej. Nieco inaczej widzi problem prof. Richard Wilkinson, współautor jednej z najważniejszych książek ostatnich lat, „Duch równości”. W rozmowie z tygodnikiem „Polityka” stwierdził m.in.: „Emocje trudno jest kontrolować. A stres statusowy bywa bardzo bolesny. Badania pokazują, że wykluczenie społeczne oddziałuje na te same obszary mózgu co fizyczny ból. Niedawno opublikowano badanie, które pokazuje, że te same lekarstwa, które zmniejszają ból – na przykład paracetamol – zmniejszają też poczucie wykluczenia. To widać po rejestrowanych przez skaner reakcjach fizjologicznych mózgu. Można to też uchwycić w badaniach ankietowych. To częściowo tłumaczy nadużywanie środków przeciwbólowych w

niższych klasach i w społeczeństwach o większym rozwarstwieniu”.

Wiemy jednak, że w Polsce nie jest w dobrym tonie mówić o rozwarstwieniu i konfliktach klasowych. To „komunistyczne wymysły” – liczy się jedność narodowa, którą osiągniemy, gdy tylko zacznie rządzić prawica bardziej prawdziwa od tej mniej prawdziwej. I oczywiście jeszcze bardziej wolnorynkowa, bo tylko wolny rynek odejmie Polakom ból głowy. Niektórym najpewniej razem z głową, ale koszty transformacji są zawsze nieuniknione. Te obecne, bo nad dawnymi można już uronić łezkę: Karol Modzelewski i Marcin Król służą przykładem wzruszeń poniewczasie. Prawa realnego liberalizmu nie różnią się pod tym względem od obowiązujących w realnym socjalizmie: za okres błędów i wypaczeń można bić się w piersi wtedy, gdy dawne ofiary już trafił szlag, a system pracuje nad nowymi.

Podobnie jak problem bólu głowy rozwiązać można kwestię kolejek do publicznych ośrodków zdrowia. Można je skrócić nie inwestując ani złotych: trzeba po prostu zlikwidować publiczną służbę zdrowia. I chodzą słuchy, że tak właśnie będzie. Dokąd pójdą ci, których nie będzie stać na komercyjne usługi zdrowotne? Umrą. Przecież i tak wszyscy umieramy. Sami widzicie, że wolny rynek medyczny może uwolnić się od społeczeństwa naprawdę skutecznie.

Jak dotąd jednak istnieje jeszcze taki byt jak polskie społeczeństwo. Stąd może nie mam racji, gdy narzekam, że na pocztce nie ma już prawie gdzie usiąść. Docelowo przecież i tak nie będzie komu siadać. Ale po co w takim razie to majestatyczne stanowisko Banku Pocztowego? Cóż, i to da się wyjaśnić: współczesny kapitalizm spekulantów i wielkich instytucji finansowych opiera się przecież na transferze środków z peryferii do centrów. Będą nas zatem bombardować usługami bankowymi do ostatniego niewyciśniętego obywatela. Będą nas wyciskać na pocztce, na dworcu kolejowym zamienionym w galerię handlową i w aptecce, do której skoczymy po wyjściu z banku. A na dodatek jeszcze w pracy, która staje się

„elastyczna” do granic możliwości – swojej albo naszej.

W realnym socjalizmie było biednie, a z reguły też nikczemnie, ale dzieci przybywało. Dziś na ogół też jest nikczemnie, tyle że już w inny sposób, a zamiast równo dzielonej biedy mamy rosnące rozwarstwienie. Dzieci już nie przybywa. Mentalni potomkowie Korwin-Mikkego twierdzą, że to przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych – planowo ograbiający lud pracujący miast i wsi z pieniędzy, zabierający pracodawcom środki, które ci najchętniej przeznaczyliby na wyższe pensje dla swoich ukochanych pracowników. Inni – wiążą negatywne tendencje z rozpadem więzi rodzinnych, pod wpływem nagłych zmian społecznych i kulturowych, które zachodziły w czasach terapii szokowej.

Wredna lewacka propaganda głosi z kolei, że gdyby w Polsce istniał efektywny transport publiczny, sieć żłobków i przedszkoli, gdyby nie skomercjalizowano niemal wszystkich sfer życia i nie zaniżano z premedytacją płac w skali całego kraju, to dzieci mogłoby być więcej. Trzeba jednak uznać, że to rynek ma zawsze rację. A on najwyraźniej nie potrzebuje do szczęścia aż tylu Polaków. Być może wystarczyłoby nas kilkaset tysięcy, osadzonych gdzieś w okolicach Puszczy Białowieskiej i zatrudnionych w agroturystyce? Niemieccy emeryci przyjeżdżaliby do nas ze swego koszmarnego kraju, w którym pokutują straszliwe przeżytki komunizmu, takie jak własny przemysł czy dobrze rozwinięta sieć transportu publicznego. My przemysłu i sprawnego transportu nie mamy, bo jesteśmy nowoczesnym państwem realnego liberalizmu, a nie Niemcami, które, jak niedawno słyszałem, wkrótce zbankrutują już od tego dobrobytu. Razem z krajami skandynawskimi, rzecz jasna.

A skoro jesteśmy przy Niemcach i kolei. W czas Bożego Narodzenia, spędzanego w Wielkopolsce, rozmawiałem ze znajomym. Zwyczajowo zeszło na dawno zamkniętą lokalną linię kolejową. – „I tak wrócą tu Niemcy” – powiedział. Przyznam, że pierwszy raz w swoich stronach usłyszałem taki tekst. Gorycz? Poczucie, że wszystko wokół rozłazi się jak karton w strugach

deszczu? Zdroworozsądkowa konstatacja, że inaczej być nie może, skoro z polskiego państwa zostają często tylko pudełka coraz bardziej pustych domów? Skoro domy te stoją przy dziurawych ulicach, którymi coraz dalej trzeba dojeżdżać do lekarza, na pocztę, do jakiegokolwiek ośrodka kultury? Skoro po gwałtownych wichurach w okolicy przez kilka dni nie ma prądu, bo sieć energetyczna jest stara i coraz mniej wydolna?

Tymczasem czytam, że minister rozwoju regionalnego Elżbieta Bieńkowska zapowiada, iż za dwa lata nasz kraj zwróci się do Komisji Europejskiej o przeniesienie niewykorzystanych funduszy unijnych z projektów kolejowych na drogowe. Komisja nalega zaś, byśmy do tego czasu wydali jak najwięcej na kolej, bo dobrze wiedzą, jakie w tej materii panuje w Polsce dziadostwo. Ale przecież „rozwój regionalny” w kraju realnego liberalizmu rządzi się swoją logiką: logiką niedorozwoju i atrofii. Infrastruktura publiczna może być dziadowska, byle nie rzucała się w oczy cienkiej warstwie zasobniejszych Polaków. Nie ma sensu wydawać na kolej, gdy się ją akurat likwiduje, a to, co z niej zostaje, wystarczy akurat na obsługę kilku największych miast.

Banki, apteki, galerie handlowe, likwidowane urzędy, kiepskie drogi, zarastające tory, pustoszące regiony, niż demograficzny. Goździkowa, sklepy pocztowo-rybne, Marcin Król załamujący ręce nad polską transformacją, niskie podatki dla bogatych, wysokie dla biednych. Dla kogo nie wystarcza miejsca na coraz krótszej ławeczce, ten frajer. Stój w drzwiach albo emigruj, względnie zrób napad na bank, a łup przeznacz na proszki od bólu głowy.

Co to jest III Rzeczpospolita? Pic. A za picem nic.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)